

# ROLA.

## PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie: Rocznie rs. 6.—Półrocznie rs. 3.—Kwartalnie rs. 1 k. 50.  
W Królestwie i Cesarstwie: Rocznie rs. 8.—Półrocznie rs. 4.—Kwartalnie rs. 2.  
W W. Ks. Poznańskim: Rocznie marek 22.—Półrocznie marek 11.  
W Galicyi: Rocznie złr. 12.—Półrocznie złr. 6.

## PISMO TYGODNIOWE, SPOŁECZNO-LITERACKIE

POD REDAKCYĄ

Jana Jeleńskiego.

O dziełach nadsyłanych do Redakcyi, zamieszczają się recenzje. Rękopisma nadsyłane nie zwracają się.

Ogłoszenia do Roli przyjmują się w Redakcyi po cenie 10 kop. za wiersz lub za jego miejsce. Reklamy po 20 kop. wiersz.

Adres Redakcyi. — Warszawa. — Nowy-Swiat Nr. 4.

## LICHWIARZE WARSZAWSCY.

(Szkice z życia).

## VIII.

W tej tragikomedii bolesnej występują rozmaici aktorzy, niektórzy wszelako odgrywają kilka ról jednocześnie; są to wybitni specjaliści, znający sztukę swą na wylot, a po troszę i psychologowie, którzy wystudowali głęboko, gruntownie psychopasyę lekkomyślności — i logikę nieszczęścia.

Wieloramienne te polipy, kilkoma splotami krępują swoją ofiarę, aby z niej możliwie najwięcej soków żywotnych wycisnąć. W tym kierunku, chytra pomysłowość, zaszcza daleko...

Lichwiarz żyje ze swoich ofiar, ale przytem musi pozyskiwać swego współbrata faktora, tem bardziej, że jak wiadomo, mieszkamy w kraju w którym bez faktora, nic się prawie nie robi.

Wytworzyli się więc specyjalni faktorzy lichwiarscy, pośrednicy, którzy, niezależnie od bajecznych procentów jakie klient właściwemu lichwiarzowi płaci, otrzymują pokładne honoraria za swoje pośrednictwo.

Niektórzy jednak lichwiarze, chcąc owo faktorne dla siebie zagarnąć — sami, udają faktorów i w ten sposób powiększają swe zyski.

Taki obywatel, pozuje na biednego żydka, opowiada całą epopeję o tem, z jaką trudnością udało mu się znaleźć kapitalistę, ubolewa nad losem swego klienta, nazywa owego kapitalistę (siebie samego naturalnie), ostatniego gatunku zdziercę i lichwarzem, i zarazem przyrzeka, że na drugi raz znajdzie innego, takiego który ma w sobie daleko więcej uczuć ludzkich i instynktów szlacheckich. On go zna, on by teraz nawet udał się do niego, ale na nieszczęście właśnie ów dobry człowiek, przed kilkoma dniami pojechał do Płocka, czy do Łomży i dopiero za dwa tygodnie wróci.

— Szkoda, wielka szkoda, — mówi kiwając z politowaniem głową, — bo to jest złoto nie żyd. Jedwabny człowiek, na moje sumienie, bierze tylko wszystkiego trzy na miesiąc i spokojny jest. Aj! jaki spokojny, jak dziecko. Nie lubi się naprzykrzyć, nie lubi nikomu dokuczyć. Szkoda że go nie ma; a może pan poczeka, on za dwa tygodnie, najdalej za trzy będzie już z powrotem.

Wie doskonale, że ofiara ma nóż na gardle i nie tylko trzech tygodni, ale trzech dni czekać nie może.

— Ja pana bardzo żałuję — mówi pseudo-faktor, — bardzo pana żałuję. Co to jest, leżę w pazury takiego rozbójnika, takiego lichwiarza! On obedrze pana z ostatniej koszuli, on pana całkiem zgubi, to gałgan jest! Ja panu nie radzę z nim się wdawać. Pyta się pan czy jeszcze nie znam jakiego? Znam kilku, bardzo porządni ludzie, ale teraz, to oni nie mogą zrobić interesu. Jeden wydał wczoraj córkę za mąż, wypłacił posag, drugi ma pojutrze własny weksel z banku wykupić, trzeci siedzi na pokucie, matka jemu umarła, Nie mam nikogo; a jeżeli panu tak pilno potrzeba, to już chyba z tym rozbójnikiem musi pan kończyć. Chcesz pan iść do niego? Po co? To taki nieprzyjemny człowiek, jakbyś pan jego raz zobaczył, to by pana przez trzy dni oczy bolały. Przygotuj pan weksel, ja sam się z tym paskudnikiem załatwię. To brzydki człowiek, na moje sumienie, onby z rodzonej matki skórę zdjął. Tfy! naprawdę. I jeszcze co ja panu powiem. Jak pan sam pójdiesz, to on pana bardzo zedrze, weźmie dziesięć procent, a ja lepiej się wytarguję. Zawsze co żyd, to żyd, pan nie potrafi się z tym rozbójnikiem rozprawić, pan jest delikatny, a na takiego chama to trzeba z góry, trzeba na niego krzyknąć.

Zabiera weksel i wychodzi.

Za parę godzin powraca, zapocony, zmęczony, i rzuca się na pierwsze lepsze krzesło.

— Przepraszam pana — mówi, — ja muszę sięść, ja już duchu w sobie nie czuję, w gardle mi całkiem zaschło. Wypiłem na pański rachunek dwa kufelki piwa... Wiesz pan, ja jeszcze nie widziałem takiego twardego złodzieja, to jest kamień, doprawdy! Co ja miałem z nim kramu, klektania, targowania się, co ja jemu potrzebowałem nawymyślać! Niech moje wrogi robią z takimi ludźmi interesa. Czy pan dobrodziej dasz wiarę, że ja straciłem pół zdrowia, przez tego cygana. Co pan myślisz? on chciał dziesięć procent, ja krzychałem „gwałt“ na całą ulicę; ja myślałem, że policya przyleci. Powiem panu prawdę, ja chciałem jego bić. No, sam pan powiedz, czy taki złodziej nie jest wart bicia?! Co to jest dziesięć procent?! I o kogo? — od takiej porządnej osoby! Ja mało brody nie oberwałem, temu cyganowi. On spuścił na ośm, ja znowu krzychałem. Przyszła jego żona, także paskudna żydówka, jak rozpuściła gębę, jak zaczęła trajkotać, to jakby pięć dorożek jechało. No! co ja miałem robić, ich było dwoje — i już wszystkie siły straciłem — musiałem dać siedm. Pan powiada że to dużo, ja sam wiem że dużo, to bardzo dużo jest, ale ja wiedziałem że pan tu czeka, że pan bardzo z gwałtem pieniędzy potrzebuje, i nie chciałem z próżnymi rękami przyjść, odrzuciłem jemu ten siedm procent, powiedziałem: masz nażryj się! i zaraz tu przyleciałem. Mam u pana za dwa kufelki piwa i za dwa kursa tramwaju. Powiada pan że ja przecie przyleciałem.

Prawda, ale jak ja leciałem?! właśnie w tramwaju. Całą drogę jechałem na piechotę, bo był pełny wagon i musiałem stać, za całe siedm kopiejek stałem. Wiele ja żądam za moją fatygę, za faktorne? Nie dużo, całkiem nic, trzy procent od całej summy. Czy to dużo?

Termin nadszedł, a z nim nowa komedia. Znowuż ten sam lichwiarz występuje w roli pośrednika.

— Ny panie, co będzie? Ten cygan nie chce brać procentu, żąda zaraz całego kapitału. Ja pana przestrzegałem jaki to złodziej, ale pan nie słuchał. Może pan myślał że to nieprawda. Trzeba z nim co zrobić, bo jutro dostanie pan pozew, za trzy dni może być wyrok, opiecznienie, isk, komornik, kompromitacja. Po co się pan z tym cyganem wdawał? Koniecznie trzeba coś zrobić. Ja pójdę, ja się z nim rozmówię! On musi przyjąć procent, ja jemu każę. Albo zapłać mu pan procent i zrobimy nowy weksel na raty, to panu będzie dogodniej. On przystanie na raty, ja wiem. Czego nie ma przystać? Albo jeszcze panu inaczej poradzę. Co się pan masz gałganowi kłaniać, lepiej pan jego zapłać. Niech on ma swoje niech się nażre, niech szuka takiego drugiego pana. Ja mam żydka znajomego, on wprowadzie lubi wziąć trochę większy procent, ale za to jest bardzo honorowy. Ja panu radzę, odcep się pan od tego paskudnika.

Tak się też robi, znowuż faktor idzie do honorowego żydka (ma się rozumieć do samego siebie), przemienia weksle i ofiara ma przez jakiś czas spokój. Honorowy żydek nie zgłasza się wcale, przechodzi tydzień, dwa tygodnie po terminie, ani honorowego żydka, ani faktora nie widać.

Nagle klient otrzymuje pozew.

Biegnie, szuka faktora, pyta co to znaczy.

— To głupstwo, to tylko przez omyłkę, on miał kogo innego pozywać, pomylił się, pana zapozwał, on nie jest taki zawzięty. Nie zważaj pan na to, puść pan sprawę zaocznie, będziesz pan miał kilka tygodni spokój. Jemu teraz jak pana pozwał już nie pasuje przychodzić po procent, a pan tymczasem może się starać o pieniądze, masz pan całe cztery tygodnie, a jak przyjdzie czas, to ja panu wszystko dobrze załatwię. Żebyśmy tylko tyle mieli zmarwienia.

Wyrok zapadł i uprawomocnił się. Zaczyna się nowa faza wyzysku, w której pseudo-faktor, występuje ciągle w roli ducha opiekuńczego. Ostrzega, ratuje przed natarczywością wierzyciela, którego ciągle nazywa cyganem, szachrajem, ostatniego gatunku ździercą. On sam jest bie-

dny, on tylko uczciwy pośrednik, pragnący ratować swego klienta, tego dobrego pana, przy którym, Bogu dzięki, parę razy zarobił na chleb dla delikatnych dzieci.

Groźba przyjscia komornika, niby miecz Damoklesa wisi wciąż nad biednym człowiekiem, a pod wpływem tej groźby, uprzejmy faktor, zwłaszcza jeżeli trafi na człowieka ambitnego, niechającego dopuścić do ostateczności, wydziera mu ostatniego rubla, zabiera wszystkie dochody, a gdy widzi że klient zmęczony, wyczerpany z sił, i wyciśnięty już jest do ostatniej kropli, wtenczas odstępkuje go innemu lichwiarzowi.

Proszę pana powiada, ja się panu przyznam że pański dług. Ja w ostatnich czasach nabyłem, ale zaraz musiałem go odstąpić ze stratą. Z bardzo wielką stratą! Wiesz pan dla czego? ja wołałem stracić, aniżeli egzekwować pana. bo ja mam już takie miękkie serce. Myśmy z sobą tyle lat handlowali, myśmy byli najlepsze przyjaciele, my żyli z sobą jak dwa bracia! Zkąd więc ja mógłbym teraz robić panu przykrość, niemiałbym chyba serca! Nie mogłem stracić wszystkiego, bo jestem biedny człowiek, ale połowę straciłem. Na moje sumienie! wołałem połowę stracić, niż dopuścić żebyś pan miał odemnie nieprzyjemność. Ja taki jestem. Pan się nieraz przekonał o mojej dobroci, i ja też się spodziewam, że jak panu będzie trochę lepiej na świecie, jak się pańskie interesa poprawią, to pan mnie odda sumę, którą na panu, przez dobroć, przez delikatność swoją, przez poczciwość poprostu straciłem. Ja wiem że pan nie będzie żądał krzywdy biednego żydka, który musi bardzo ciężko pracować na kawałek chleba, dla siebie i dla swoich delikatnych dzieciów.

Tak—to charakterystyczne istotnie—jak oni wszyscy ciężko pracują!

(d. c. n.)

## Odwrotna strona medalu.

Jeden ze znajomych moich uskarżał się niedawno, że nabywszy przed kilkoma laty akcyę pewnej renomowanej cukrowni w gub. Warszawskiej, akcyę na 5,000 rubli nominalnej wartości, otrzymał z niej zysku:

w pierwszym roku po kupieniu	rs. 2,400
w drugim	" " " " 900
w trzecim	" " " " 250
w czwartym	" " " " tylko rs. 15

— Zrobiłeś tu podobno odrazu furorę — mówił Borowski, nalewając narkotyczny płyn do filiżanek. — Spodziewałem się tego. A wiesz kto mi mówił o twoim artykule? Nie zgadlibyś. Oto panna Wanda Lipnicka.

— Jakto! — zawołał Bolesław. — Więc Kalinowa zjechała już do Warszawy?

— Wczoraj przybyła pani Moszyńska z córkami i stanęła u swego brata, który jest tu na kadencji jako radca Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Spotkałem panie na ulicy.

— Jak to dobrze. Muszę jutro złożyć uszanowanie mojej matusi chrzestnej. A panna Izabella czy zdrowa?

— Jak rybka. Ale nie pytasz o pannę Wandę, która jest twoją gorącą wielbicieleką. Wiesz, to kompletnie ładna dziewczyna, a jaka sprytna! Wielki rozumek pomieścił się w tej małej główce.

— Widzę, że ci się panna Wanda bardzo podobała. Uderz do niej, a będę ci swatem.

Borowski zamilkł. Pochyliwszy się nad naczyniem, mięszął łyżeczką cukier, który się dawno roztopił.

— Budzę cię! — wyrzekł Bolesław.

Borowski podniósł głowę i uśmiechnął się.

— Chyba wiesz, w jakim kolorze — odparł.

## „NARWAŃCY“

POWIEŚĆ

przez

Teodora Jeske-Choińskiego.

(Dalszy ciąg.)

— Alfred! A ty co tu robisz?

— Mówiłem ci przecież, że jadę do Warszawy.

— Tak prędko?

— Nietylko że zdążyłem nająć mieszkanie w przeciagu trzech dni, ale wynalazłem sobie już nawet posadę.

— A toś się zawiął!

— Mam tu trochę stosunków, krewnych, co w Warszawie dużo znaczy, więc poszło, jak po mydle. Zatrudniono mnie w Towarzystwie ubezpieczeń.

— Cóż ma filozofia do ubezpieczeń?

— Nic, ale tabliczkę Pitagoresa znam przecież jeszcze z domu, pisać i czytać nauczono mnie także, a to zupełnie wystarcza.

Bolesław zapoznał Borowskiego z Chłodzińskim i usiedli razem przy małym, marmurowym stoliku. Podano im kawę i koniak.

Clement najpodlejszy ze wszystkich, gdyż sam jeden odważył się przepasać szarfą trójkolorową i aresztować tych, co nie chcieli się unijść przed małą bachantką.

Ten wrzask ludu ma jednak własność przestraszania zawsze Rotszylda; dał rozkaz dyrektorowi, żeby zaprzestał przedstawień.

Te sztuki łamane z aktorkami, które przyczyniły się do rozdrażnienia opinii publicznej przeciw pannie Van-Zandt, przeszły w zwyczaj.

Ileokroć była mowa o córkach Syonu, wyrażenia używane przedtem o tych co zaszczyt przynieśli scenie narodowej, nie wystarczały. Zaznaczyłem już niejednokrotnie ten zwyczaj, właściwy rasie żydowskiej, powiększania wszystkiego czego ona się dotknie, a raczej tego co jej dotyczy, widzenia wszystkiego niby w fata morganie, nagromadzania przesadnych epitetów, zwyczajnych u ludów wschodnich. Dla nich ostatnia z komedyantek izraelskich staje się istotą fantastyczną, przez pół aniołem, przez pół kobietą; posiada ona dziesięć *septuorothów*, a my powinniśmy jej na kolanach dziękować, za to że nam się raczy dać słyszeć—za pieniądze.

Apoteoza zaczęła się od Racheli, która, jak powiada Turgeniew, była: „siłą i kwiatem tej żydowszczyzny, która zagarnęła już kieszenie świata całego i która zagarnie niebawem resztę, gdyż kto ma kieszeń, ma kobietę, a kto ma kobietę, ma mężczyznę“. Prawdziwy portret tej dziwnej istoty skreślił Filaret Chasles; jest to rysunek tak subtelny, że nie mogę sobie odmówić przyjemności powtórzenia go tutaj

„Ten mały tygrys cygański, ta lubieżna żydówka z czołem szerokim osadzonem na barkach hyeny, a na przesłicznym torsie Menady, niesłychanie inteligentna a duszą bliższą zwierząt mięsożernych aniżeli ludzi, oczarowała wszystkich godnych jej współczesnych, których upajał wielki jej przymiot: drapieżność. Gruby Veron szalał za nią. Ricord byłby się dla niej powiesił. Otego czasu, jako mała żebraczka w koszulini samej, z miseczką w ręku, zbierała grosze w błocie szynkowni; od dziecka zaprawna we wszelkiej ohydzie, lubiąca się namiętnie w nierządzie ale namiętniej jeszcze w pieniądzach, reprezentowała ona dzikość paryasów, dzikość cygańską, skupioną, skoncentrowaną i wyrafinowaną dzikością ulic paryżkich“.

Nie potrzebujemy dodawać, że żydzi nie poprzestali na tem; nie spoczęli dopóty, dopóki w nas nie wmówili Racheli fantazyjnej, uosobienia czystości, szlachetności i piękna.

Jakoż, ilekroć idzie o żyda lub żydówkę, zmieniają się zwykłe warunki moralności. Widzieliście Wolffa bębniącego na ciele biednej aktorki z teatru „Variétés“; Meyer nie daje się prześcignąć. Racheli miała bękartów: była o nich mowa w r. 1883, w procesie wytoczonym przez panię Lię i Dinah-Felix spadkobiercom Sary. Są to „słabostki“, które się wyba-

ły jakieś kształty, barwy; wydzielala się z nich ostra woń, powiał z nich ciepły oddech.

Znów ona. .

— A te oczy, te jej oczy przepiękne! Lśnią, jak te gwiazdki, do których tęskniłem w noc pogodną, dzieckiem będąc. Wabią mnie w dal, w mglistą, tajemniczą...

Bolesław zerwał się z krzesła i zaczął chodzić po pokoju.

— Tfu, do diabła! Chłopcem jestem, albo co? Małoż kobiet widziałem w życiu?

Wrócił do biurka, usiadł, zakrył uszy rękami i pograżył się w mądrościach „Gwiazdy“.

Kiedy podniósł się po dwóch godzinach, aby przejść do sypialni, czuł się rozbitym. Ciągła walka z myślą, która uciekała do salonu pani Sędzickiej, zmęczyła go niesłychanie.

Rzucił się na łóżko, ale jeszcze we śnie niepokoił go uśmiech Miłeckiej. Zdawało mu się, że płynie z nią w kručzej łodzi po wzburzonym jeziorze, że mu jej włosy oplotły i obezwładniły ramię, potrzebne do wiosłowania. W każdej chwili może członek utonąć, a ona patrzy na niego, spokojna, uroczą...

— Pani, toniemy! -- mówił.

— Nic mi nie będzie — odpowiedziała ona.

czają artystce, podobne zresztą do mnóstwa innych, które rozprawy sądowe ujawniają codziennie. Ale „Gaulois“ nie przystaje na to; on dowodzi na całych trzech kolumnach, że te bękarty to arcybękarty, bękarty jakich nikt nie miewa, jakich nikt nie miewał przed Rachelą, po czem następuje naturalnie apoteoza rasy nieporównanej!

Lubo już nieraz dotykałem tego przedmiotu w tem mojem studyum, nie waham się wrócić jeszcze do niego, gdyż on jest tutaj punktem kardynalnym. Chrześcianin zawsze jest gotów zarumienić się za kogoś albo zaprzeczyć czemuś, powiedzieć bratu swemu zakłopotanemu: „Nescio vos“. Żyd jest zupełnie nieprzystępny „glupiemu“ poczuciu śmieszności lub fałszywego wstydu; gardzi zuchwale opinią, może dla tego że wie jak ona się robi.

Weźmy inny przykład. Idzie tutaj, oświadczam to z góry, o kobietę zupełnie uczciwą; nazywała się Agatina i była modystką. Wyobraźcie sobie chrześcianina mającego żonę z zawodu modystkę i mającą imię Agatina; człowiek ten nie będzie się chełpił z tego. Innego zdania jest kolega nasz Aleksander Weil, on drukuje poemat p. t.: „Agatina, moja żona“ i oświadcza że niema nic mędrszego, bardziej zachwycającego, skromniejszego nad tę modystkę.

Wierni swemu zwyczajowi, żydzi zawsze urządzali bezwstydną reklamę dla swoich. Przedstawili nam jako nieporównaną artystkę tę biedną Sarę, która poprostu papple, która nie zrobi nigdy ani jednego ruchu trafnego i zgodnego z tem co mówi, która nie byłaby godną rozwiązać rzemyka u obowią tej wielkiej i dramatycznej Rousseil, w której zdaje się drgać bohaterska dusza tragedyi.

I nikt nie protestuje. Ten rzekomy *high-life*, to towarzystwo *selected*, jak mówią, ma mniej inicjatywy i niepodległości w swoich sądach od owego dependenta od prokuratora, który za 15 sous poszedł wygwizdać „Attilę“. Sztuki wynoszone pod niebiosa nie doszłyby do trzeciej sceny wobec dawniejszego parteru. Dla światowców istnieją tylko *critierium*: „czy się to żydom podoba?“ Jeżeli tak, to wszystko dobrze.

Czyż trzeba lepszego na to dowodu nad sztukę „Ami Fritz“? Wiadomo jakiej haniebnej robocie oddali się Ereckmann-Chatrian. Wychowani przez żydów Phalsbourga ludzie ci mają duszę pełną niewiastki i brudną. Utwór ich zasłużył na nazwę „Iliady strachu“.

Kiedy zapowiedziano sztukę „Ami Fritz“, de Saint Genest przypomniał, w „Figarze“, że ludzie którym otwierano dom Moliera, okryli zniewagami naszą bohaterską armię Metz. Nikczemniejsi od żydów którzy obdzierali trupy, przyszli współpracownicy „Sztandaru“ Derouleda, obdarli naszych poległych z całunu chwały; rzucili przydomki, kapitał rdów i tchórzów oficerom, którzy pod gradem kul i granatów bronili owego cmętacza w Saint-Privat, gdzie gwardya pruska została zdziesiątkowana, i obok którego idąca droga nosi po dziś dzień nazwę „śmiertelnej drogi gwardyi“. P. de Saint Genest nie poprzestał na

Obudził się. Na dworze był już dzień, służący krzątał się, dmuchając w samowar.

Bolesław zerwał się z posłania, ubrał się szybko i wylał sobie na głowę dzbanek zimnej wody.

— Nie mam czasu na taką zabawę—mówił do siebie.

Wziął od Młodowskiego francuzkie dzieło do przetłumaczenia. Trzeba dotrzymać słowa. Wypiwszy herbatę, zapalił papierosa i zabrał się do roboty.

Podejmując się tej pracy, wystawiał sobie, że nie ma nic łatwiejszego nad przekład cudzego utworu. Zna przecież język bardzo dobrze, zapoznał się dawniej i z przedmiotem, więc tylko usiąść i pisać.

Gdy jednak zaczął dzieło francuzkie przyswajając językowi polskiemu, zmiarkował rychło, że powyższe dane nie wystarczają, że trzeba do takiej pańszczyzny spokoju i cierpliwości, lub wyjątkowego zamiłowania. Spokojem ani cierpliwością nie odznaczała się jego natura wybuchowa, a serce nie ciągnęło go wcale w stronę zajęć rzemieślniczych. Tyśiące myśli kipiało w jego głowie, rozsadzając mu czaszkę, czuł, że ma sam dużo do powiedzenia, że stać go na działalność własną. Za lat dwadzieścia, trzydzieści, gdy wyrzuci z siebie wszystko, co go wewnątrz pali, będzie może zdolnym do porównywania pojedynczych zwrotów, do sprawdzania wyrażen technicznych, ale dziś? Dziś podnosi go z fote-

Nie dziwnego, że tak gwałtowne spadanie procentów, jakie przynosiły akcje cukrownicze, przeraziło wszystkich, co jakibądź udział w interesie cukrowniczym przyjęli.

Pomyślano o ratunku.

Jedną z dróg, jaką obrano, było zsolidaryzowanie się cukrowników, dobrowolne zrzeczenie się części dochodów na rzecz wspólnego interesu, ograniczenie produkcji o pewien procent, słowem, umowa, znana pod nazwą konwencji.

Obiecywano sobie, że do konwencji onej przystąpią wszyscy. Kraj powitał ją sympatycznie. Zdawało się, że nie może ona wywołać protestów, bo tylko dobre strony jej widziano.

Zdziwiony też byłem nie mało, wiadomością, że nie które cukrownie odmówiły uczestnictwa w konwencji onej. Zaciekawiony, zapytałem o przyczynę nieobecności znajomego mi właściciela cukrowni, który do konwencji przystępować się wzdragał, a wyniosłszy z rozmowy tej wrażenie, które rzuca światło na mniej znane ogółowi sprawy, dziele się niem z czytelnikami niniejszego pisma.

Otóż, jak mię mój interlokutor objaśnia, przystępujący do konwencji obowiązują się nie przekroczyć pewnej, z góry oznaczonej ilości produkcji. Za podstawę do obliczenia, ile która fabryka może przerabiać cukru na przyszłość, przyjętą jest cyfra przeciętnej produkcji z ostatnich lat 5-ciu. Cukrownie dawne, istniejące od lat kilkunastu lub więcej, doszły już były w tym czasie do zenitu rozwoju — i ani rozszerzać plantacji, ani powiększać fabrykacji w ciągu tych ostatnich lat kilku nie mogły i nie miały potrzeby. Młode zaś cukrownie, szczególnie z ostatniego lat dziesiątka, będące dopiero w rozwoju, powiększały corocznie ilość przerabianych buraków, a niektóre z nich nie dosięgły jeszcze odpowiedniej założeniu ilości i jeszcze tę ilość, dziś przerabianą, powiększyć potrzebują, ażeby samodzielnie istnieć mogły.

Ograniczenie więc produkcji na podstawie ilości w ostatnim pięcioleciu przerabianej, o ile dotykało nieco stare cukrownie, rujnowało zupełnie cukrownie młode — i uniemożliwiało im eksploatację. Co więcej: obniżenie cen cukru i idąca za tem niska cena buraków, zmuszała do zaniechania plantacji odleglejszych od cukrowni. Cukrownie zatem stare, zmniejszając produkcję, nie ponosiły właściwie żadnej ofiary; usuwały bowiem na bok buraki najodleglejsze, najdroższe, z których nie miały dostatecznych korzyści. Inaczej się rzecz ma z cukrowniami, które powstały niedawno, gdzie ludność mało oswojona z nowym płodem, nawet w najbliższej cukrowni miejscowości niedostatecznie obsługuje fabrykę burakiem, i gdzie starać się ciągle jeszcze potrzeba o zwiększanie plantacji przy samej nawet cukrowni, odpowiednio naturalnie do skali, na jaką fabryka jest zbudowana.

Dla cukrowni, zbudowanych np. na przerób 300,000 korey buraków, a jako początkujących, zmuszonych do

ograniczania się na kilkudziesięciu tysiącach korey, warunek zmniejszenia i tej małej ilości o dość wysoki procent, jest wprost zabójczym.

Słowem, wymagania starych cukrowni dążą do usunięcia współzawodnictwa młodych. Młode też, wyroku śmierci na siebie podpisać nie chcą.

Takie są w ogólnych rysach racje, które bronią się odosobnione cukrownie od zarzutu usuwania się na bok. O ile te racje są słuszne, powinny być uwzględnione przez uczestników związku. Nikomu z twórców związku tego nie przyszło do głowy unormować ilości produkcji dawnych cukrowni, na zasadzie tej ilości fabrykatu, jaka wyszła z nich w ciągu pierwszego pięciolecia ich egzystencji? Jakżeż mogą nakładać takie restrykcje na inne?

Nacisk, wywierany na opornych, jeżeli nawet szkodę im przyniesie, może się odbić wzajem niekorzystnie na innym polu działalności decydujących „p o d s k a r b i c h“ a chociażby nadzieja, że ten lub ów z obcego obozu nie zje sam cukru, lub że nie obejdzie się bez poparcia i pomocy tego lub owego finansisty — nie zawiodła, nie gwarantuje to jeszcze trwałej pomysłowości tym, którzy się do środków nacisku uciekli.

Pisząc niniejsze pod wrażeniem wywodów pozazwiązkowego cukrownika, spodziewamy się, że jeżeli mylnie jesteśmy poinformowani, spotkamy się ze sprostowaniem, pochodzącym z kompetentnego źródła.

H. W.

## FRANCYA ŻYDZIAŁA.

### STUDYUM Z HISTORII WSPÓŁCZESNEJ

przez Edwarda Drumont.

#### Tom II.

Paryż żydowski i społeczeństwo francuskie.

(Dalszy ciąg.)

Prawdę powiedziawszy, ostrożności te były wcale niepotrzebne. Nikczemna jak zawsze, dzisiejsza publiczność okazała się gotową usłuchać rozkazu żydowskiego, ufetować aktorkę która jej ubliżyła.

Wmieszła się w to ulica. Ta istota bezimienna, która się myli tak często, okazała więcej serca niż śmietanka towarzystwa; zebrała się na placu żeby gwizdać. A ów rząd, któremu trudno dać nazwisko, który bez żadnego oporu pozwolił znieważać na katedrze następcę Cousin'a, wymownego filozofa, szanownego pisarza, zrobił dla komedyantki która się szpetnie spiła, to, czego nie zrobił dla p. Caro. Trzech komisarzy policyjnych zjawilo się na placu: Sautucci, Evrard i Clement, ów Clement sławny z czasu dekretów,

nimby rzucił się z całą niecierpliwością i odwagą w wir publicystyczny.

Więc pochłaniał roczniki czasopism, nad którymi powiewały wyraźne sztandary, pomijając zwykłą bibułę spekulacyjną. Odszukiwał artykuły wstępne, polemiki, rozprawy i sprawozdania naukowe, słowem wszystko, co mogło być drogowskazem wśród tego labiryntu najsprzeczniejszych myśli.

Wróciwszy z wieczorku pani Sędzickiej, zabrał się do pracy, lecz uwaga jego nie spoczywała dziś tak silnie na zadrukowanych arkuszach, jak wczoraj, pozawczoraj, jak przez cały tydzień ubiegły. Coś jej przeszkadzało, odrywało ją od czarnych liter.

Zamiast czytać, oparł Bolesław głowę na dloni i patrzył przed siebie, na atramentnik. Cóż tam tak ciekawego? Zwykły kałamarz, jak wiele innych.

Nie martwy sprzęt widziały jego oczy, lecz białą, okrągłą twarz, puszyste, jasne włosy i błyszczące źrenice.

— Jak ona się do mnie uśmiecha! Podawała mi serce w tym uśmiechu, duszę swoją odsłaniała...

Bolesław drgnął, przetarł powieki i nachylił się nad papierami.

— Odejdź odemnie maro cudowna, odejdz! Inne czeka mnie kochanie...

Ale litery zlewały się w szarą masę, potem przybiera-

## VII.

Już trzeciego dnia „wyprowadził się Bolesław z hotelu i zamieszkał w dwóch pokojkach przy ulicy Hożej.

Przywykły od dziecka do wygodnego życia i wykwintnego otoczenia, bo sędzia lubił komfort i smaczne kąski, wydał znaczną część pieniędzy, które matka dla niego zaoszczędziła, na umeblowanie swego gniazdka. Posadzkę pracowni pokrył kobiercem, w środku ustawił duże biurko, ściany obwiesił zwierciadłami i obrazami. Garnitur składający się z dwóch kanapek i dwunastu foteli, obitych pasowym aksamitem, ożywiał swą jaskrawą barwą komnatkę, mającą służyć równocześnie za salon.

Tu przesiadywał Bolesław od rana do późnej nocy, zajęty wertowaniem roczników pism warszawskich.

Wychowaniec politechniki belgijskiej, od lat pięciu przebywający między cudzoziemcami, nie znał zupełnie prądów, które przebiegały kraj w czasach ostatnich. Czytywał wprawdzie w Liège gazety i tygodniki polskie, słyszał coś o „starych“ i „młodych“, o konserwatystach i postępowcach, przyklaskiwał nieraz śmiałemu słowu „Gwiazdy“, ale istoty tego ruchu nie odczuwał, ani rozumiał.

Czego oni chcą, do czego dążą, jaki jest kres ich działalności, jaki cel ich programatów? Pytania te pragnął sobie sam rozwiązać, zanimby stanął po tej lub owej stronie, za-

gołosłownem twierdzeniu; w sześciu numerach przedstawił czytelnikom swoim najważniejsze wyciągi, ustępy najmocniej anti-francuzkie, najnikczemniejsze.

Nadeszło pierwsze przedstawienie. W sali teatralnej były wdowy, siostry, kochanki oficerów poległych pod murami Metz. Ani jedna nie zaprotestowała, ani jedna francuzka nie miała odwagi wobec tych mężczyzn niedołęgów wstać i wygwizdać tych oszczerców śmierci. Wszyscy oczekiwali niecierpliwie aż Rotszyld raczy objawić swe zdanie. Gdy się ukazał rabbi Dawid, zagrzmiął okłeski. Wszyscy żydzi rozpromieniali. Wyobraźcie sobie tylko: rabbi po raz pierwszy ukazujący się na scenie francuzkiej, i ukazujący się naturalnie jako wzór cnót wszelakich!

Na długo przedtem „Archiwa izraelskie“ obębniały dobrą nowinę: „Teatr francuzki w Paryżu, pierwsza scena na całym świecie—mówiły—urzy prawdopodobnie prawdziwą uroczystość dramatyczną. W pierwszych dniach Grudnia przedstawiona na nim będzie sztuka pp. Erckmann, Chatrian, o której tyle już pisano. Obecność rabina na scenie, będzie jedną z cenniejszych zalet tej sztuki. Jedną z głównych jej postaci jest reb Dawid, typ prawdziwy, który autorowie wyidealizowali bezwzględnie, ale którego oryginałem ma być poprzednik wielkiego rabina Izydora z Phalsbourgu“.

Zachęceni ogromnem powodzeniem, jakie im zgotowała prasa żydowska, p. p. Erckmann-Chartian wpadli na pomysł wprowadzenia na początku „Rantzau'ów“ śpiewu *Kyrie elejson*. Jakże tkliwe wrażenie wywołuje ta niby skarga płaczliwa na początku Mszy, jak gdyby chcąc zwrócić uwagę Boga, na zebranie wiernych! Chataubriand słysząc ją śpiewaną w jednym z klasztorów na górze Athos był do łez wzruszony, a Brizeux poetycznie opisał wrażenie tego śpiewu w małych kościółkach bretońskich.

„Pobożne niewiasty  
„Odpowiadały szemrząc jak wiatru powiewy,  
„Na ten Elejson grecki bretońskimi śpiewy.“

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## NA WYSPIE ZELANDYI.

Z notat podróźnego

przepisał

S t. P I A S T.

(Dalszy ciąg.)

Więc stoisz tak nieruchomy, zapatrzony w te poważne rysy, zatopiony w tych głębokich oczach, a przed duchowym

la młodość, podrywa go siła i pragnienie wrzawy. Obiecał jednak — nie wolno mu złamać słowa.

Więc przymusił się i pracował.

Jakże wolno szła ta robota niewolnicza! Dziesięć razy tyle byłby napisał oryginalnie, w przeciągu tego samego czasu. I taki trud nazywają ci wydawcy zabawką, za którą płacą śmiesznie mało!

Przekładał już cztery godziny, a zarobił zaledwo rubla. Jeżeli tak dalej pójdzie, nie utrzyma się chyba z pióra.

Bolesław był wdzięcznym dzwonnkowi, który się odezwał, oznajmiając jakiegoś przybysza. Rzucił pióro i podniósł się.

— Pan Borowski! — meldował służący.

— Prosić!

Borowski wszedł do pracowni z kapeluszem w rękę, ubrany w tużurek wizytowy.

— Doskonale zrobiłeś, żeś przyszedł, — zawołał Bolesław—mam przynajmniej powód do przerwania nudnej roboty. Jak się masz, Fredku? Cóż to, czy to do mnie w takiej gali?

— Ma się rozumieć—odpowiedział Borowski. — Przecież przychodzę do ciebie po raz pierwszy.

— Nie bądźże śmieszny! Po cóż między nami takie dzieciństwo!—mówił Bolesław.—Dawaj nakrycie i siadaj!

twoim zwrokiem przesuwają się obrazy dzieł genialnego poety, ożywiają jego niezwykle myśli. I przypominasz sobie czem była ludzkość jeszcze wczoraj, gdy on jej natchniony śpiewał pieśni, czem jest dziś gdy głos mu w piersiach zamarł. I pytasz sam siebie, co się stało z jego zasadami, gdzie się podziały ziarna jego nauki, gdzie są owoce jego prac? I odpowiadają ci na to pytanie dzisiejsi zwycięzcy z pod Sadowej i Sedanu, odpowiada ci wielki twórca jedności niemieckiej. Robi ci się zimno na całym ciele, i żałujesz że ludzkość tyle krwi bezpotrzebnie przelała dla obrony świętych praw człowieka, że tacy jak Szyller mężowie krwią swego ducha zakreślali niebiańskie widnokregi przed ludzkością, że wszystko co dla postępu prawdziwego zrobiono dotąd, nie jest ach! — tylko snem. Ale jednocześnie wstępuje w ciebie jakaś wiara niezwykła; coś ci szepcze że Bóg bezpotrzebnie takim ludziom na świat nie kazał przychodzić. I odchodzisz od pomnika pokrzepiony, i błogo ci się na sercu robi, a usta twoje mimowolnie szepczą słowa uwielbienia dla wielkiego artysty.

### VIII.

Płaskorzeźby Thorwaldsena, to francuzkie obrazki wypieszczone delikatnym pędzlem Grenve'a lub Róży Bonheur. Takie one wdzięczne i powabne, tak śmieją się do ciebie wesoło, że po potężnem wrażeniu posągów marmurowych, chętnie uciekasz tu, aby odetchnąć przy nich wolniejszym powietrzem.

Tematy do nich brał mistrz duński z kąd się dało. Czasem zstępował w czasy mitologiczne i tam czerpał wzory i natchnienie, a czasem poprostu tworzył z fantazyi, przyoblekając w zmysłowe kształty, obrazy swojej wyobraźni. I jedne przecież i drugie godne są pod każdym względem widzenia. I jedne i drugie noszą na sobie piętno niezwyklego talentu.

Bo na przykład: „Dzień“ i „Noc“. Dwie kobiety płyną po eterach, lekki zefir kołysze zwojami ich sukien. Jedna i druga piękna, jedna i druga posiada kształty klasycznej. Jedna jest dniem, druga nocą. Gdy się w rysy jednej wpatrujesz, wszystko się w tobie do życia budzi, czujesz że gwiazda dzienna, żar swój przelewa w twoje żyły, pragniesz życia, ruchu, myśli. A druga? — druga usypia cię, kołysze miękko, usposabia do marzeń i miłości. Co tu finezyi, co tu zręczności artystycznej! Malarz, przedstawiający taki temat, niedziw że mógłby zająć widza. Ale rzeźbiarz, nierozporządzający ani kolorem, ani perspektywą? A jednak Thorwaldsen zajmuje, co więcej, przykuwa do swej rzeźby. To już urok jego dłuta, tajemnica jego genjuszu.

A ten chłopiec wciągany przez Nimfy morskie do wody. Poszedł nad toń lazuruwą, chciał się przejrzeć w jej niezgłębionych falach. Postrzegły to mieszkanki wodne, podpłynęły cicho ku niemu, a że był piękny i młody, więc go pochwyciły w swoje objęcia i ciągną na dno. Chłopiec się opiera,

— A, formalności przede wszystkim -- odparł Borowski, nie puszczając kapelusza.

— Dawaj, safandulo, i rozgość się, jak u siebie. Może zechcesz zabawić pięć minut, co? Żeby cię ukarać, przyjdę do ciebie z pierwszą wizytą o północy, w kaloszach i bez rękawiczek.

— Tobie to wolno, ty, co innego.

— Dla czego mnie wolno?

Borowski uśmiechnął się znacząco, siadając na fotelu.

— Już wiem — mówił Bolesław. — Chcesz powiedzieć, że takiemu narwańcowi, jak ja, to wszystko wolno. Co pozwolisz? cygaro, czy papierosa?

Borowski wziął pierwsze i rozglądał się po pokoju.

— Urządziłeś się wcale gustownie, ale nie modnie. Dziś nie używa już nikt poąowych kolorów — mówił, zapalając liść hawański.

— Mniejsza o modę, kiedy mi się tak podoba. A u ciebie co słychać? Czy jesteś kontent ze swej posady?

(Dalszy ciąg nastąpi)

ale idzie, bo dziewczyny są tak powabne,\* że milsza nawet śmierć z niemi, niż bez nich życie. Więc powtarza za poetą:

„Lepsza w Kwietniu jedna chwilka,  
„Niż w jesieni całe Grudnie.“

i idzie ochoczo, w gronie tych rozkosznych wietrznic pędzić chwile wesoło i przyjemnie.

Tam dalej na ścianie wisi cztery płaskorzeźby. Choć cztery, stanowią przecież jedną całość,—całość obejmującą życie ludzkie. Artysta nazwał je „Wiosną“, „Latem“, „Jesienią“ i „Zimą“, a uosobił w postaciach ludzkich. Więc „Wiosna“ i „Lato“ jest młodocia splotąca wesoło na kwiatach, wśród miłości i snów uludnych, „Jesień“ jest dojrzałym wiekiem, spożywającym owoce pracy lat młodych, a „Zima“ posepną starością, spędzaną u domowego ogniska, przy którym drzemie kot, symbol przywiązania do rodzinnego kąta.

Postacie ludzkie przepiękne, młoda dziewczica uosabiająca „Wiosnę“ czy „Lato“, czarująca jak prawdziwa niebianka, a ten młodzieniec co ją w pół obejmuje i prowadzi uśmiechniętą wśród kwiecia i pół zasłanych zbożem, jest symbolem siły i namiętności męskiej. Odchodzi się z żalem od tej grupy, ale bo też jak prawdziwie oddaje ona, komedję czy tragedję pielgrzymki człowieka na tej „Iez dolinie“!

A tuż obok, figiel zaklęty w marmurze. Na targ przywieziono Amorki. Ze wszech stron zbiegło się ludu co niemiara, każdy chce kupić sobie miłość, ten kwiat ludzkiego życia. Tu młoda i powabna kobieta, wyciąga ku skrzydlatemu chłopczyńce ręce by jej serduszko strzałą rozkoszną przeszył, a tam starzec z długą, siwą brodą chwytą go by przy jego cieple ogrzać kostniejące już członki. Lecz Amorki figlarze nie lada. Tę kobietę ściskają śmiejąc się uroczym, ale od tego starca uciekają co sił im starczy, odwracając swoje oblicza. Obrazek ten wykuty od niechcenia jest żartem, w rodzaju tych, jakich sobie pozwalali mistrze włoscy, w chwilach wytchnienia po pracach nad potężnymi posągami. Nie ustępuje on tamtym wcale, i usta do uśmiechu każdemu składa kto przystanie przed nim choćby na chwilę!

Na przytoczenie treści wszystkich płaskorzeźb Thorwaldsena, nie starczyłoby tomów. Jest ich bo takie mnóstwo, że na dokładne obejrzenie wszystkich, potrzebaby wiele czasu, a cóż dopiero na opisanie ich choćby pobieżnie. To też nie kuszę się o to i porzestaję na tem com powiedział, zaznaczając z naciskiem że cechą tego rodzaju prac duńskiego mistrza jest: drobiazgowość w wykończeniu, dowcip w pomyśle i elegancja w ugrupowaniu. Wprawdzie prace te, nie mogą być postawione obok takich kolosów jak „Kopernik“ lub „Poniatowski“, wprawdzie profan przejdzie obok nich bez zatrzymania się nawet w swoim pochodzie, gdyż mu one nie zdają się zapowiadać nic ciekawego po takim „Merkurym“ lub „Wenerze“, ale kto przed nimi przystanie, ten nie pożałuje tego; dadzą mu one zadowolenie jedyne w swoim rodzaju. Tak jest. Jeżeli bowiem w wielkie posągi Thorwaldsen wcielił cały swój potężny geniusz, w płaskorzeźbach dał odbicie swojej duszy, pogodnej i spokojnej jak marzenie dziewczicy, jak młodość „sielska, anielska“ największych z naszych poetów.

#### IX.

Kto chce się naocznie przekonać o „kulcie“, że się tak wyrażę, Thorwaldsena w Kopenhadze, niech odwiedzi jego Muzeum w Niedzielę. Spotka tam wtedy tłumy jego rodaków, przeważnie rekrutowanych z klas niższych, którzy przechodzą tu z najdalszych stron, spędzają tu długie godziny, stoją w niemej kontemplacji przed posągami, i odchodzą przyobiecując sobie, że w tydzień znowu tu powrócą. Ludzie to po większej części prości, ubrani po wieśniacemu lub po małomiejsku, poznajesz po ich twarzach, że nie zdają sobie nawet dokładnie sprawy z tego co widzą, a jednak nie zaniedbują nigdy sposobności, aby tu przyjąć z żońcami i dziećmi swemi, pogapić się na te marmury i gipsy, odetchnąć tem odmiennem od innego powietrzem. Czego to dowodzi? Oto że Thorwaldsen jest krwią z krwi, kością z kości tego ludu.

W Danii też Thorwaldsena podziwiają i najniższe warstwy, kopiami posągów jego ozdabiają swoje rybackie strzechy, uczą się w jego Muzeum odczuwać piękno zaklęte genjalną ręką w kamieniu. Jest to tryumf sztuki, taki, jakiego nie napotyka się prawie nigdzie, tryumf przypominający Włochy, gdzie przecież od wieków tyłu lud był karmiony chlebem harmonii i piękna przez mistrzów jakim równych świat nie wydał. W Danii tych mistrzów nie było, tam Thorwaldsen stoi odosobniony, tem większa

zatem zasługa jego, że w krąg ciepłego talentu swego pociągnął zimne dotąd tłumy, rozgrzał je iskrą boskiego pierwiastku, podniósł po nad marną prozę życia, popchnął w niebiańskie sfery ideału!...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## Z a k a r ę .

(Z życia cynika — opowiadanie.)

### I.

Dzień powszedni. Pusto w sali  
Gdzie sztuk pięknych jest wystawa.  
Nikt dzieł mistrzów nie pochwali;  
Próżna praca — próżna sława...  
Woźny tylko od niechcenia  
Po obrazach wodzi wzrokiem,  
I poziewa ze znużenia,  
I miarowym stąpa krokiem.  
A gdzie goście?...

Weszła blada,

Piękna, wiotka, w czarnej szacie,  
Młoda wdowa; z cizy rada,  
Bo po świeżej płacze stracie.  
Świeży ból jej serce gnębi,  
Z zasmuconem więc obliczem  
Weszła, patrzy... Przed nią, w głębi,  
W świetle bladym, tajemniczym,  
Szereg płócien — barw igrzysko —  
Obwieszono niemi ściany,  
Każdy inne ma nazwisko,  
Każdy pięknie malowany...  
Tu z ram wdzięczna się wychyla  
Postać dziecka, z siatką w dłoni,  
Co pochwyć chcąc motyla,  
Lekką stopą za nim goni.  
Tam zalotnie piękna „Nana“,  
Co w zmysłowej swej nagości,  
Niby szatan, rozpasana,  
Drwi otwarcie ze skromności.  
Tu znów „Cztery pory roku“,  
„Pogrzeb mnicha“, „Dwa wesela“,  
I, wśród innych dzieł natłoku,  
„Narodzenie Zbawiciela“.  
Obraz wielki — przed nim blada  
Staje wdowa, bo to płótno  
Wielką chwilę opowiada,  
Rozpogadza myśl pokutną.  
Staje, patrzy — Pan Bóg w żłobie  
Dobrotliwie się uśmiecha,  
Jakby mówił: „Po żalobie  
Radość przyjdzie i pociecha.  
Nic bez trudu, wszystko trzeba  
Zdobyc męztwem, znojną pracą,  
Lecz i darmo nic, bo Nieba  
Za znój życia hojnie płacą.  
Błogosławion, komu w skronie  
Cierń się wpija; on bezpieczny,  
Bo mu Ojciec da po zgonie  
Wieczne szczęście, żywot wieczny!“  
Patrzy wdowa — patrzy — słucha  
Tej Dzieciątka lubej mowy...  
Wtem dochodzi do jej ucha  
Szmer jakowys.

To gość nowy :

Postać wielce okazała!...  
Chód jej ciężki i leniwy,  
Twarz cyniczna i zuchwała,  
Wzrok lubieżny, pożądlivy...  
Kto on — pewnie dobrze wiecie;  
Komuż bowiem nie jest znany  
Bankier Geldhab?... On w gazecie  
Znalazł opis nagiej „Nany“.  
A to festyn dla cynika,  
Toż to smak dlań w takiej strawie!...  
Na nią slinkę wciąż połyka,  
O niej marzy w śnie, na jawie...  
Dla niej przyszedł tu. Już wchodzi,  
W prawo, w lewo zwraca głowę,  
I po sali wzrokiem wodzi.

Zoczył wreszcie płótno nowe.  
 Więc ku niemu wnet podbiega,  
 Już rozkoszy mrowie czuje,  
 Już mu czoło krwią nabiega,  
 Już się „Nanie“ przypatruje...  
 Wtem drgnął, poblądł... Co się stało?  
 Zkąd ta bladłość i to drgnienie?  
 Co tak nagle go wyrwało  
 Z upojenia — co? Westchnienie.  
 — Kto tu wzdycha o tej porze? —  
 Myśli w trwodze. — Czyżby „Nana“...  
 Czy strach jaki?... Ano... może...  
 Ach!... to tanta — zadumana!  
 Jakież piękny splot warkoczy...  
 A jej kibić!... Istne cuda!...  
 Rączka drobna... a te oczy!...  
 Ej, to chyba znów ulda...  
 I przybliża się do wdowy,  
 Mówiąc: — Pani! tys aniołem,  
 Co się przebrał w strój królowy...  
 Ja przed tobą biję czołem...  
 Bądź mi bóstwem... bądź mi...—Panie!  
 Przerwie wdowa.—Bóg tu leży...  
 Choć ma żłobek za posłanie,  
 Uszanować Go należy!...  
 I wskazuje obraz święty,  
 Cicha łą z jej oka ciecze,  
 Ale bankier uśmiechnięty,  
 Z miną drwiącą, krótko rzecze:  
 — Bóg?... et farsa!... Tedy ona,  
 Gdy bluźnierstwo usłyszała,  
 Wiary duchem ożywiona,  
 W te się słowa odtzwała:  
 — Milcz, mój panie! Mnieś znieważył,  
 Więc mą wzgardę weź w zapłacie;  
 Lecz żeś z Boga drwić się ważył,  
 Za to kara spadnie na cię!  
 Przyjdzie chwila, że w stajence  
 Szukać będziesz ocalenia  
 I w rozpacznej błagać męce  
 Choć o jeden dzień istnienia!...  
 Poznasz wtędy co Bóg może,  
 Jakiej godzin aureoli...  
 I zawołasz — Boże! Boże!  
 Nie pamiętaj mej swawoli!...  
 Bankier na to: — Ja w rozpaczę?  
 Z jakiej racji? — że się śmiałem...  
 Że na obraz ten prostaczy  
 Z uwielbieniem nie patrzałem?!...  
 Ja mam w stajni stać przy żłobie!...  
 Razem z wołem, osłem, krową?...  
 Tego głupstwa ja nie zrobię —  
 Daję pani moje słowo!...  
 Wyszedł. Wdowa bladolica  
 Pozostaje na wystawie,  
 I jak pierwej się zachwyca,  
 I jak pierwej śni na jawie.  
 Stoi — patrzy... Chrystus w żłobie  
 Dobrotliwie się uśmiecha,  
 Jakby mówił: „Po żałobie,  
 Przyjdzie radość i pociecha.“

(Dokończenie nastąpi).

## NA POSTERUNKU.

Najnowsze „starcie“ liberalne i nowa „sprawa honorowa“. — Przesąd średniowieczny w usługach nowożytnego liberalizmu. — Zdemokratyzowanie pojęć o honorze. — Parę przykładów. — Pałki i pięści jako najnowsze argumenty dowodzące żywotności i siły zasad liberalnych. — Niech i tak będzie. — Cobyśmy uważali za zbyt cenne. — Coby mogła skorzystać „postępowa“ inteligencja warszawska w towarzystwie Bartków prowincjonalnych. — Literat-plagiator rozprawiający o wielkości swego talentu i charakteru! — Nieco o naturalnej konsekwencji gospodarki sennickiej w dziennikarstwie warszawskim. — Prawdopodobny wyrok publiczności. — Po-czekajmy.

W poczciwym naszym światku literacko-artystycznym będziemy mieli znów „sprawę honorową“. Tak przynajmniej sądzę. Pewien młody malarz namalował obraz, a pewien krytyk sprawił mu za to, w jednym z organów pozytywnych, pozytywne „lanie“. Obrażony malarz zwymyślał krytyka i pogroził mu kijem, a krytyk zaatakowany w sens taki przez

malarza, sprawił mu drugie „lanie“, ale już nie piórem... Poczem uczestnicy „zajścia“ (z inicjatywy poturbowanego malarza) opowiedzieli o niem światu za pośrednictwem aż dwóch „Kuryerów“ oraz jednego tygodnika, no i już „sprawa honorowa“ — gotowa.

Pomijając w tej chwili i samo „przykre zajście“ i osoby walczących, przeniesiemy rzecz na grunt ogólniejszy. Nie wiem czy to jest także znamię czasu, dość że u nas coraz więcej mówi się o honorze i coraz częściej służy on, ten „przesąd“ średniowieczny, spleśniały, do osłaniania czynów wysoce nowożytnych i... liberalnych.

Przypatrzcie się tylko.

Ten pan po parękróć urządził już sobie „upadłości“, układał się z wierzycielami, płacił im 25 lub 30 za sto i na tych właśnie operacjach dorobił się fortuny; a jednak proszę tylko posłuchać jak pięknie, i z jaką swadą prawi on o... honorze! Pi. pił miałby się z pyszna, ktoby mu przypomniał te „stare“ jego dzieje!

Ów znówu mąż poważny jest z gruntu libertynem. Jego marzeniem, ideałem, wygodna synekura i wygodny byt. Cynik, śmieje się z przekonań wszelkich, ale to mu nie przeszkadza występować publicznie w imię zasad konserwatywnych. Spróbujno jednak nazwać tę jego obłudę po imieniu, dotknij to nędzne karyerowiczowstwo, a oburzony mąż zagrozi ci „rozprawą honorową“ (!) i nazwie, co najmniej, „pamflecistą“.

Albo ten znówu. On także, bez wielkiego wysiłku w pracy, chce żyć dobrze, wygodnie. Jego więc specjalnością zarywanie łatwowiernych, dobroduszných, lub takich wreszcie, co ofiarą własnej kieszeni chcą się pozbyć natręta. „Pożyczka“ od wszystkich, wszystkim przyrzeka zwrot pożyczki, oznacza dzień i godzinę nawet, ale nie oddaje nikomu. Nic to jednakże: ten pan jest h o n o r o w y m i to tak dalece, że w „sprawach honorowych“ bierze udział czynny.

Ten znów trudni się pożyczaniem pieniędzy na niezłe procenta. Złota młodzież korzysta z jego kredytu i przez nią ma wstęp do „towarzystwa“. Nazwij go jednak lichwiarzem, a pojedynk, „rozprawa honorowa“ może cię nie minąć..

Ten wreszcie dopuścił się wyraźnego fałszerstwa. Mówisz mu, że to brzydko, że to czyn karygodny, przewidziany kodeksem, a on ci na to:

— Hola, mój panie! Alboż pan jesteś poczytelnym w sprawach h o n o r o w y c h ? ! . . .

No, i któżby tam zliczył tych wszystkich honorowych? Ktoby ich mógł spisać dokładnie, jeżeli nawet słynny pan T e n n e n w u r c e l z Lublina, skazany obecnie na więzienie za różne figle oszukańcze, przysłał nam w swoim czasie rejentalne (tak!) wezwanie, abysmy w R o l i „nie drażnili jego honoru“!

Skoro więc dzisiejsze pojęcie o honorze tak się już wyemancypowało z pod wpływów średniowiecznych, skoro się tak zdemokratyzowało i... upostępowiło, to dla czegoż pewni, dajmy na to młodzi przedstawiciele sztuki, czując się „dotkniętymi surowością krytyki“ nie mieliby pojęcia tego, tak już spopularyzowanego, wywłóczyć na ulicę i o „obrazę honoru“ potykać się na kije? Jeżeli liberalizm, bojujący jak wiadomo „w imię swobody myśli i przekonań“, doprowadził nas już do... swobody takiej, że kwiat inteligencji, że artyści i literaci, nie znajdując innych argumentów, muszą się przekonywać przy pomocy pałek i pięści, ha... to niechże i tak będzie. Niech i tak będzie, skoro, jak twierdzi nasz znany „Poseł Prawdy“, „mianownik starć“ takich i onych dawniejszych, średniowiecznych, „jest w gruncie rzeczy wspólny“. Niech już i tak będzie, powtarzam, tylko nie zdaje mi się, aby walczącemu w ten sposób nowożytnemu rycerstwu wypadało czyny swe opiewać w szpaltach „Kuryerów“. Niechby się znalazł jakiś nowożytny Homer, któryby to wszystko, ku wiecznej chwale dzisiejszego, naj-inteligentniejszego rycerstwa, opowiedział światu; ale sami uczestnicy i bohaterowie „starć“ tego rodzaju powinni przynajmniej pamiętać na przysłówie: *propria laus sordet!* Bo w dodatku i taka z a c o f a n a prowincja, dowiedziawszy się z gazet o tych różnych bohaterstwach inteligencji warszawskiej, mogłaby je sobie wytłumaczyć opacznie i do „przywódców życia umysłowego“ stracić nawet tę resztkę zaufania, jaka jej jeszcze pozostała.

A właśnie prowincja potrzebuje na gwałt inteligencji, jak najwięcej inteligencji! Tak przynajmniej dowodzą organa liberalne, według których, jak wiemy, wszystko co sobie tam rości pretensję do inteligencji, nie jest nią właściwie. Szlachcic ciemny, ksiądz fanatyk, zacofaniec i basta. Są to więc żywioty, które raczej szerszą lub co najmniej podtrzymują ciemnotę, a prowincyi, a ludowi zwłaszcza, potrze-

ba przewodników, którzyby mu „świecili przykładem nowych pojęć“, coby „szczepili nowe prądy“, coby słowem „w martwe ciało zaścianków tchnęli nowe życie“. Przeto inteligencjo — wołają — rzucaj niewdzięczny bruk warszawski, a spiesz tam, między rzesze maluczkich, tam cię czeka przepiękne posłannictwo, tam masz szerzyć światło i „przykładem własnego życia, własnej inicjatywy, torować drogę postępowi“!

Ano, musi to tak być, skoro tak głoszą nasi nieomylni (każdy liberal! musi być z zasady nieomylnym) nauczyciele ciemnego społeczeństwa. Tylko, wyznaję w prostocie mego ducha, nie nmiem zdać sobie dokładnej sprawy, jakimi to mianowicie przykłady ma „świecić“ owa postępową inteligencja warszawska masom prowincjonalnym? Sądząc bowiem z tych czynów i przykładów, jakimi już „świeci“ na ulicach Warszawy, wątpię aby tam, „wśród rzeszy maluczkich“, mogła ostatecznie zaświecić czemś nowem i tak bardzo ucywilizowanem.

Ale kto wie czy nasi Bartkowie nie zażenowaliby i w innych razach pewnych naszych „inteligentów“. Bartek naprzykład, gdy się dopuści... „plagiatu“ na dworskiej łące, lub w dworskim lesie, to przynajmniej nie lży właściciela tejże łąki lub lasu, ale go poprosi najczęściej o przebaczenie. Tymczasem w naszym świecie warszawsko-dziennikarskim bywa i w tym razie inaczej. Literat, współpracownik dziennika, popełnia plagiat, a wobec tego redakcja tegoż dziennika uważa za właściwe rozstać się z jedną z swoich „sił“. Literat przechodzi do dziennika innego, znów popełnia plagiat i znów zostaje wykluczonym z grona współpracowników; — poczem idzie do pisma trzeciego i zwymyślawszy poprzedniego chlebodawcę od najostatniejszych idiotów, odsądzivszy go od wszelkiej czci i wiary, zapewnia najsolennie o wielkości swego talentu i... cnoty! Jam jest tak wielki — powiada ów literat — że ci ludzie (t. j. ci, którzy go usunęli z powodu popełniania plagiatów) „nie warci (dosłownie i autentycznie!) butów mi czyścić“.

Na Boga! — gotowicie zawołać śmiertelnicy nie należący do władców pióra i sterników opinii publicznej — do czegoż to dojdzie w tem waszem dziennikarstwie — co się stanie z tą prasą? Do czego dojdzie i co się stanie nie wiem; ale wiem że to co jest, — jest konsekwencyą bardzo naturalną. Jakto? — Ano tak. Z chwilą w której żyd — i to żyd najgorszego gatunku, bo wyemancypowany, czyli bez wyznaniowy, położył na piśmiennictwie peryodycznym swoją... dłoń krogulczą, a prąd materialistyczny wcisnął się w stosunki dziennikarskie, opanował je i zakaził, tkwiącym w nim samym, pierwiastkiem rozkładowym, duchem szwindlu, obłudy i grynderstwa; — z chwilą tą mówię, musiało w tej naszej prasie (jedyna pociecha (!) że nie w naszej tylko), stać się to, na co dzisiaj patrzymy. Kapłanka prawdy, przewodniczka ogółu, inicjatorka spraw publicznych, strażniczka „najżywotniejszych interesów kraju“, musiała zejść do roli — najpodrzedniejszej służebnicy... geszeftu. Spekulacya, najgorszego gatunku, interes i gonitwa za rublem, musiały zetrzeć z większości prasy wszystkie szlachetniejsze jej cechy, prasa sama musiała stać się jednym wielkim kramem handlarskim, a handlarstwo to musiała odbić się najfatalniej na jej przedstawicielach, wywołując wśród nich, rzecz zawsze i wszędzie najsmutniejszą: u p a d e k , s k a ż e n i e c h a r a k t e r ó w . Jest to, powtarzam, naturalny owoc gospodarki semicko-liberalnej w dziennikarstwie warszawskiem. Naturalne to mówię, spowszedniałe, codzienne, a jednak gdy się patrzysz na tych „literatów“ — włączających się od jednego żyda do drugiego, targujących się o cenę i dopytujących który więcej za ich „talent“ da; gdy patrzysz na tych „piastunów prawdy“, rozprawiających głośno i szeroko o „dobru publicznem“, a noszących w zaprzędanych cielcowi duszach jeden tylko ideał — ideał wygodnego życia, to cię dławią coś w piersiach — dławią cię obrzydzenie.

I nie pomogą tu nic żadne sądy, żadne „syndykaty“, ni trybunały literackie. Tak jest i tak będzie dopóty, dopóki publiczność sama, publiczność nasza, nie zwyrodniona, nie zżydziała jeszcze, nie odwróci się od tego widowiska ze wstrętem i nie powie: idźcie precz nędzni kuglarze i faryzeusze — mam już dość waszego p r z o d o w n i c t w a ! Czy powie tak i kiedy? Ano, poczekajmy...

Kamienny.

## Z CAŁEGO ŚWIATA.

Ogłada zachodnia na komornem w Bukareszcie. — Carmen Silva i Piotr Loti. — Sztuki piękne nudzą już francuzów. — „Figaro“ o Chopinie — Dziwne drogi cywilizacyi. — W Anglii opieka nad zwierzętami z pominięciem ludzkości i gastronomią narodową. — W Niemczech wszystko dla miłego grosza. — Nemezis. — Klęska niemców w Kamerunie. — Z Berlina. — Naprężenie turecko-greckie złagodzone. — Oburzenie oportunistów na ministrów Freycineta i Lockroy. — Nowe ministerjum serbskie. — Anglia myśli o wzmocnieniu swojej siły zbrojnej.

W epocę, w której „żelazna“ polityka siły przed prawem w brutalne objęcia ujęła świat niemal cały, a popchnąwszy Francję w ramiona republikańskie, stłumiła źródło zachodniego wykwintu towarzyskiego i inaugurowała erę szorstkości i zdziczenia obyczajów; w chwili gdy prodująca niegdyś światu polem swoimi arystokracya francuzka nie umie się zdobyć na nic mędrszego i dowcipniejszego nad odgrywanie roli skoczków i kłownów cyrkowych, — wygnana z zachodu i z Paryża wytworna grzeczność schroniła się na wschód i obrała sobie siedzibę... w Bukareszcie!

Niedawno temu królowa rumuńska, znana jako poetka pod nazwą Carmen Silva, przyjmowała na swoim dworze Piotra Loti'ego, francuza, autora powieści „Rybak islandzki“. Uprzejma gospodyni, po obiedzie zaprosiła swego gościa i kolegę po piórze, do swego gabinetu i poprosiwszy go, aby zechciał posłuchać ustępów z najlepszej powieści, jaka od lat dwudziestu opuściła prasy drukarskie, przeczytała mu kilka rozdziałów... z jego „Rybaka islandzkiego“.

Niepodobna było chyba dalej posunąć grzeczności dla gościa i uznania dla pisarza; to też Loti miał lzy w oczach, wzruszony przyjęciem jakiego doznał i myślą o kolegach i drogach, któremi obyczaj wersalski, przeskoczywszy wszere całą Europę, zawędrował wprost na dwór bukareszcki.

I miał rację Loti, że płakał nad upadkiem obyczaju i ducha w swojej ojczyźnie. Duch ten niedołężny i sprzedajny w życiu politycznym, postrzelony w społecznem, w towarzyskiem i literackim sili się na błazeństwa i sztuki łamane. O błazeństwach cyrkowych już wspomniałem, próby zaś sztuk łamanych widzimy co krok w literaturze, a mianowicie w dziennikarstwie. Obecnie naprzykład jest tam na porządku dziennym ponizanie, uposledzanie sztuk pięknych. Wszystkie one licha warte, nudzą dzisiejszych francuzów. Ale pół biedy jeszcze z poezją; wiersze można rzucić do kosza; tak samo z rzeźbą i malarstwem: można nie patrzeć na posągi i obrazy. Gorzej z muzyką, bo od tej uchronić się niepodobna, ona spać przeszkadza i myśleć nie daje bezmyślnemu pokoleniu. Najpoczytniejszy, choć nie powiem, żeby najpocześniejszy z francuskich dzienników „Figaro“ niemiłosiernie obrabia wszystkich mocarzy tonów; na Bethowenie, Hummlu Bachu i innych suchej niski nie zostawia: wszyscy dla niego są okropnie nudni. W końcu dostaje się i naszemu Chopinowi, temu „elegijnemu Słowianinowi“, „drugorzędnemu co najwyżej kompozytorowi“, którego całą zasługą, że „grube dźwięki klawiszów okrasza poezją“ (bagatel...), a „sztywnym klasycznym okresem miękkość nadaje“. Biedni ci francuziska! po srogich losu alternatach, które ich w ostatnich czasach dotknęły, stracili nieboracy wszystkie swoje dawne właściwości, które ich nieraz na czele narodów stawiały; — została im jedna, nie najcelniejsza — tak zwany *toupet*, dzięki któremu zdaje im się, że i dziś jeszcze stoją na świeczniku europejskim i prawa światu dyktują. Wygodne dla miłości własnej ale niebezpieczne złudzenie!... To też gdyby nawet Chopin wstał z grobu, z pewnością nie miałby do nich żalu...

Dziwnemi bo wogóle drogami chodzi ta podtusiała nasza cywilizacya. W Anglii naprzykład, w tym niby drugim (według anglików pierwszym) w rządzie narodów cywilizowanych, jejmość ta (niby: cywilizacya) poczyna się skręcać w kierunku ekscentryczno-materialistyczno-zwierzęcym. Wiadomo powszechnie, do jakich okropności dochodzi nędza klas uboższych w trójkrólestwie, a mianowicie w Londynie; gdyby kto opisał prawdziwe tych warstw tajemnice, włosy powstałyby na głowach nawet jak kolano łysych. Tymczasem w tym samym Londynie żaden koń ani pies stary i bez zajęcia nie potrzebuje troszczyć się o swoje losy, gdyż istnieją tam znacznymi funduszami zaopatrzone przytułki dla weteranów tych zawodów. W najgorszym razie osobniki końskie i psie zabijane bywają, ale zapomocą gazów trujących, co subiektem przez pół mniej subiekcyi sprawa i przez pół mniej czasu zabiera, niż wieszanie, praktykowane dotąd na osobnikach ludzkich.



W tej chwili Londyn chętnie się wystawą „kulinarną”. No, niema w tem, w gruncie rzeczy nic złego; toć i w Warszawie miewamy wystawy „kucharskie;” tylko, że Anglicy w swojej kładą punkt honoru narodowego, przekonani są, że zakasowali Francuzów i Brillat Savarin’a w kozi róg zapędzili; książę Cambridge jest protektorem wystawy, która urządzona jest z niezmiernym przepychem w maneżu Wellingtona. Otóż firma bohatera narodowego i patronat księcia krwi, to trochę zawiele dla wystawy gastronomicznej, podczas gdy farmerzy irlandzcy mrą z głodu i *boycotowaniem* bronią się przeciw wyzyskowi landlordów.

W Niemczech znowu inaczej; tam znów wszystko niczem wobec miłego grosza. Tam np. książę Blücher, potomek pruskiego bohatera z pod Waterloo, wytoczył proces burmistrzowi berlińskiemu o to, że kazał podczas pogrzebu cesarza Wilhelma pobudować przed jego (Blüchera) pałacem trybunę i tym sposobem zasłonił mu pięć okien, które mógłby był wynająć po 325 marek. Blücher, wytaczający proces o 1500 marek, których mu nie dano zarobić na pogrzebie ukochanego monarchy! Jakże to ładne, nie prawdaż?

Albo ów proces panującego księcia Albrechta Waldecka, agitujący się przed sądami bawarskimi, przeciwko siostrze żony powoda, księżnie Oldze Hohenlohe-Oehringen, o 10,000 marek, przypadających mu jakoby z tytułu niedotrzymanej obietnicy, uczynionej z okazji jego zaślubin z młodszą siostrą powodowej. Czy to także nie budujące? Sąd przyznał księciu tylko część pretensyi; i będzie się dalej włócił proces, w którym między innymi figuruje jako świadek panujący książę Waldeck, stryj powoda.

Nie wiem też czy za te, czy za inne grzechy, potężne Niemcy, wśród powszechnego pokoju, spotkała dotkliwa klęska. Niewdzięczni kameruńczycy, nie umiejący ocenić dobrodziejstw oświaty niesionej im przez Niemców, którzy nawet elementarne dla nich przeznaczono na lepszym papierze niż dla własnych szkół drukować kazali, napadli na naukową wyprawę niemiecką, pod wodzą oficerów Kundta i Tapenbecka w głąb Afryki zdążającą i okrutnie ją poturbowali. Wielu Niemców poległo, Tapenbeck ciężko, a Kundt śmiertelnie został ranny, cała wyprawa byłaby zginęła, gdyby jakiś kupiony przez Niemców krajowiec nie był dotarł do nadbrzeżnej faktoryi niemieckiej, skąd niebawem odsiecz nadsięgnęła.

Zdrowie cesarza Fryderyka w ostatnich dniach poprawiło się znacznie, lubo lekarze twierdzą, że to tylko ulga chwilowa, a główna choroba ciągle czyni postępy. Bądź co bądź cesarz wstaje, używa powietrza przy otwartym oknie, zajmuje się sprawami państwa, konferuje z księciem kanclerzem, a z rodziną może choć po cichu rozmawiać, co stanowi główną jego pociechę i korzystnie wpływa na jego humor. Poprawa jednym słowem musi być znaczna, skoro cesarzowa z córką Wiktoryą zdecydowała się opuścić na jakiś czas cesarza i udać się w okolice zalane przez Elbę.

W stosunkach międzynarodowych panuje cisza; książę Bismark zapewnia, że pokój w najbliższej przyszłości nie zostanie naruszony. Jedyny czarny punkt na widnokręgu politycznym stanowiło silne napięcie stosunków między Grecją a Portą, która rząd grecki podejrzewała o machinacje w Macedonii i na wyspie Kandyi, mające jakoby na celu oderwanie tych prowincyj od Turcyi. Przyszło już nawet do tego, że poseł grecki wyjechał z Konstantynopola a turecki z Aten i maluczko brakowało do zupełnego zerwania stosunków dyplomatycznych. Ale i tutaj w ostatniej chwili nastąpiło porozumienie i jest nadzieja, iż rzecz załatwi się po przyjacielsku.

We Francyi, w obozie rządowym zbiera się burza na ministrów Freycineta i Lockroy za to, że są tajnymi współpracownikami Boulanger’a. Organ prezydenta Carnota „Siècle” otwarcie ich zwywa, aby stanowczo stanęli po stronie przeciwników Boulanger’a, albo podali się do dymisyi. Jednakże wezwania te nie odnoszą skutku a prezes ministrów Floquet nie ma odwagi usunąć tych panów z gabinetu.

Nowe ministerium serbskie, z Kristiczem na czele, dotąd spokojnie dosyć rządu sprawuje; nie natrafia na zbyt silny opór ze strony opozycji i nie używa też surowych środków represyjnych. Donoszą tylko, że rząd rozbroił jakiś po wojskowemu uorganizowany oddział, który zamierzał wkroczyć do Bośni; potwierdziłoby to wieści o usilo-

waniach radykalistów, żeby w Bośni wywołać powstanie przeciw Austryakom.

Anglia, mianowicie od czasu bytności królowej Wiktorii w Berlinie, na seryo myśli o powiększeniu swojej armii. Na początek ma ono wynosić 15—20 tysięcy ludzi; ale na tem chyba nie koniec, gdyż przyrost ten nie postawiłby siły zbrojnej angielskiej w możności odegrania poważnej roli w sprawach kontynentalnych.

E. Jerzyna.

## KRONIKA BIEŻĄCA

### Krajowa i Zagraniczna.

**Dla ziemian.** W ostatnim numerze „Rolnika i Hodowcy” spotykamy potwierdzenie wiadomości zaznaczonej przez nas w numerze poprzednim. „Wiadomości—czytamy w tem piśmie—nadszedłe o stanie zasiewów w Ameryce brzmią bardzo nieopomyślnie. Urzędowe sprawozdania stwierdzają, że żniwa pszenicy obojętnej wynosić będą zaledwie 82 proc. zeszłorocznego plonu; jeżeli więc stan rzeczy nie poprawi się, to ceny pszenicy na rynkach europejskich nie będą prawie zupełnie pod naciskiem dowozu z Ameryki, ten bowiem będzie minimalnym, lub zupełnie nie będzie miał miejsca.”

Godziłoby się więc rolnikom naszym w obec tych wiadomości, przy zawieraniu kontraktów z tutejszymi handlarzami zboża, zachowywać wszelką ostrożność, a przedewszystkiem — o ile kto naturalnie może — nie spieszyć się zbyt. Pośpiech bowiem może, w tym razie, kosztować bardzo dużo.

**Wystawa.** Komitet zajmujący się urządzeniem, w roku bieżącym, wystawy inwentarza na placu Ujazdowskim w Warszawie, oznaczył już stanowczo czas jej trwania, — od 9-go do 19 Czerwca. Podczas wystawy mają być urządzone konferencye w przedmiotach dotyczących rolnictwa.

**Ważny projekt.** Do rady państwa wniesionym został projekt mający na celu wzbronienie chłopom „wydzielania się z gmin” oraz uwolnienie drobnej posiadłości ziemskiej od sprzedaży za długi prywatne.

**Skłopy polskie,** ku wielkiemu zmartwieniu „Izraelity” piornującym coraz zawzięciej na „ten brzydki pamflet” (tytułu „Roli” Izraelita nie wymawia nigdy) — mnożą się i rozwijają szybciej niż to największy nawet optymista mógł przypuszczać. Świeżo właśnie donoszą nam o otwarciu sklepu chrześcijańskiego w osadzie fabrycznej Nietulisku, położonej w obrębie zakładów Starochowickich, w gub. Radomskiej. Sklep ten powstał głównie z inicjatywy miejscowych urzędników fabrycznych p. p. Szuleca, Szwejkowskiego i Huberta, a przy poparciu dbającego o moralność i dobrobyt swych parafian proboszcza z Kunowa ks. Jopkiewicza, zyskał sobie odrazu życzliwe przyjęcie ze strony ogółu — wyzyskiwanej i demoralizowanej przedtem — ludności miejscowej. Założony z niewielkim stosunkowo kapitałem, bo z niecałym tysiącem rubli, sklep w Nietulisku ma już obecnie do 1,500 rubli obrotu miesięcznego i nie tylko opiera się skutecznie konkurencji żydowskiej, ale owszem zmusza ją do ustępowania z placu. Żydzi bowiem, widząc co się dzieje, widząc tę ogólną wziętość sklepu polskiego, myślą już obecnie o zwinięciu swych „interesów”.

W tych czasach również, powstał sklep chrześcijański w osadzie Klimkiewiczów pod Ostrowiem (gub. Radomska). Założył go z niewielkim także kapitałem p. Rybiński, a jakkolwiek w początkach szło mu dosyć trudno, to jednak — dziś sklep jego cieszy się niemnąż już wziętością, tak w sferach inteligentnych jak i wśród ludu. A dotychczasowi „kupcy” urodzeni? Ci także i tutaj myślą o... odwrocie.

**Z Wilna** donoszą, iż nadeszło tam już pozwolenie władzy na urządzenie w r. b. wystawy rolniczej. Wystawa ta będzie miała o wiele większy zakres niż jej poprzedniczki, nie będzie ona bowiem wyłącznie rolnicza, ale rolniczo-przemysłową. Wystawa ma się odbyć w porze jesiennej, a równocześnie z nią mają być urządzone i wyścigi konne.

**Z prasy.** Pan Michał Wołowski pomieszcza w jednym z pism codziennych obrazek z natury p. t. — „Szubrawiec”.

W tak zwanym warszawskim obozie postępowym, występuje coraz widoczniej rozdwojenie nawet w pojęciach etycznych. Świeżo tego dowód widzimy w nowej „sprawie literackiej” niejakiego p. Stebelskiego b. literata lwowskiego a ostatnio współ-

pracownika „Kuryera Codziennego“. Gdy bowiem „Głos“ wykrywa i ogłasza dowody, że ów p. Stebelski dopuszcza się plagiatorstwa, — „Przegląd Tygodniowy“ przeciwnie: bierze tegoż „literata“ w obronę! Ha... widocznie i w naszym świecie pozytywnym etyka bywa różną, to znaczy mniej i więcej—semicka.

**Z teatru i muzyki.** Utalentowany artysta teatrów warszawskich p. Adolf Ostrowski uzyskał pozwolenie na urządzenie poranku artystycznego na swój benefis. Poranek odbędzie się w dniu jutrzejszym t. j. w Niedzielę.

Na scenie teatru Rozmaitości ma być przedstawionym oryginalny obrazek dramatyczny p. Zofii z Mikorskich Lasockiej: „Nie mów hop aż przeskoczysz“.

P. p. Feliks Konopasek i Jan Łusakowski utworzyli orkiestrę złożoną wyłącznie z sił miejscowych, a liczącą już obecnie 35 członków. Ponieważ orkiestra ta ma na celu zastąpienie grywających w Warszawie, w miejscach publicznych, orkiestr żydowskich i niemieckich, — z tego więc głównie względu przedsięwzięcie to ludzi młodych i energicznych, zasługuje na zupełne uznanie i poparcie. Dotychczas dyrektorowie nowej orkiestry zawarli już kontrakty z zarządem Ogrodu Zoologicznego i z zakładem wód mineralnych w ogrodzie Krasińskich, gdzie orkiestra ich grywać będzie stale.

**Wyjaśnienie.** W skutek reklamacy i udzielonych nam objaśnień, ze strony osób interesowanych, oświadczamy niniejszem, iż w Nrze poprzednim w artykule: „Z całego świata“ wyraz „banda“ został niewłaściwie użytym.

**Zmarli:** Ś. p. Ks. Jakób Rutkowski ze Zgromadzenia ks. Misyonarzy, ostatnio kapelan sióstr miłosierdzia przy Zgromadzeniu św. Kazimierza na Tamce, kapłan powszechnie szanowany — zm. w Warszawie w 70 roku życia.

Ś. p. Stanisław Arnd zdolny technik, inżynier kanalizacji w Warszawie — zm. przeżywszy lat 36.

Z powodu Świąt jakie przypadły w tym tygodniu, sprawozdania handlowego, wyjątkowo, nie pomieszczamy — zwłaszcza że i numer niniejszy musiał być wcześniej niż zwykle przygotowanym do druku.

#### Odpowiedzi Redakcyi.

Sz. ks. Józef Krz. w B. — Dziękujemy stokrotnie; wszystko wysłane.

Sz. ks. L. Wysokowski w Os. — Załatwione przez księgarnię Kolińskiego. Rachunek szczegółowy wysłamy.

P. O. O. — Doniesień bezimiennych uwzględniać nie możemy.

P. Stefanowi K. w Warsz. — Wyjaśniliśmy już w 17-stym. Zresztą co nam to szkodzi? *Der Hund bell...* i t. d. Rzecz o którą sz. panu idzie podnosiliśmy już w Nrze 44 z r. z. O inne wiadomości z tej sfery uprzejmie prosimy.

Myśliwemu. — Fabryka broni i magazyn Stapfa Nowy Świat Nr 43. Wyrób nie ustępuje zagranicznemu, a ceny o wiele przystępniejsze. Zresztą dlaczego mamy tak gwałtownie popierać te fabryki wiedeńskie o które się sz. pan dopytuje?

Warszawia kowfi. — Szkoda — żeśmy otrzymali zapóźno.

#### REKLAMY.

##### Wykwalifikowany organista,

człowiek młody, uczciwy, zdolny i pracowity, znający dobrze język ruski i mogący być użytym przy prowadzeniu aktu stanu cywilnego, poszukuje miejsca w jakiejś większej parafii. Bliższa wiadomość w redakcyi „Roli“ (Nowy Świat Nr. 4), gdzie też i warunki wynagrodzenia nadsyłane być mogą. (6—2)

Dentysta Marceli Grzeszkiewicz, Nowy Świat Nr. 55, przyjmuje od 10 do 6-ej, — specjalnie sztuczne zęby. 6—2

#### OGŁOSZENIA.

Fabryka Narzędzi Chirurgicznych 52-19  
i wszelkich stalowych ostrych, oraz Bandaży  
**I. Jodłowskiego**

Białańska Nr. 5. — Filja: Marszałkowska Nr. 137  
(9-ty dom od ogrodu).

poleca wielki wybór narzędzi chirurgicznych, weterynaryjnych i nożowniczych — oraz przyjmuje wszelkie obstalunki i reperacje po cenach najumiarkowańszych.

#### SKŁAD ZEGARKÓW

**S. POPIELA,** (52-22)

Ulica Elektoralna Nr. 5.

## Główny Skład Dywanów

52-19

GIEŁŻYŃSKIEGO PIOTRA, ulica Marszałkowska Nr. 137

(10-ty dom od ogrodu),

poleca w wielkim wyborze: Dywany najrozmaitsze, Serwety, Chodniki, Koldry, Dery i t. p. JUTY i WEŁNY na pokrycia meblowe, Kretony Fabryki „Zawiercie“. Ceny fabryczne. PP. Handlujecym rabat.

### FABRYKA

## Wyrobow Blacharskich

oraz

### Skład Towarów Żelaznych

## Fran. TARNOWSKI,

21, Nowy-Świat 21.

Podejmuje się tak w mieście jak i na prowincyi Krycia, Malowania i Reperacyi Dachów, Kościołów, Wież i t. p. robót z gwarancją kilkoletnią, po możliwie niskich cenach.

Jakoteż posiada na składzie duży wybór Naczyn kuchennych, Lodowni pokojowych, Maszynek do lodów, Wózków dziecinnych, Welocypedów i t. p. towarów po najmożliwiej niskich cenach — z czem się poleca Szanownej Publiczności.

Fran. Tarnowski.

21, Nowy-Świat 21.

(4—1)

## „GUDRONIT“

### A. Ciszewski Budowniczy i S-ka.

w Warszawie, Hotel Angielski.

Osuszanie wilgotnych mieszkań i budowli; niszczenie grzyba drzewnego i konserwacja drzewa. (10--1)

Magle pokojowe najnowszego systemu; można nabyć takowe i zarazem na miejscu wypróbować ich praktyczność, — jak również Maszynki nowe do kapslowania butelek bardzo łatwym sposobem. — Tanie, najnowszego systemu i najpraktyczniejsze Maszynki do masła różnych wielkości. — Najnowsze maszynki do siekania mięsa i wyżyłowania. — Taboreciki i Stoliki składane i t. p. różne wyroby, stosowne i praktyczne do gospodarstwa i użytku domowego.

Posiada na składzie.

### Warszawska Fabryka Lodowni Pokojowych

pod zarządem:

## J. KUCHTY

Piękna Nr. 30. (12—12)

Cenniki w wysyłają się na żądanie gratis.

Fabryka wyrobów srebrnych i platerowanych

## TOMASZA UTRACKIEGO,

Nowy Świat Nr. 55. (1—1)

wyrób najrozmaitszego fasonu.

Cena łuta srebra w wyrobie, próby 84 Zol. rs. 1,03.

Dla handlujących w wyrobach platerowanych rabat 25%.

### Polski Kantor Bankierski

**RADZISZEWSKI i S-ka** (52-18)

WARSZAWA — HOTEL EUROPEJSKI.

# CIECHOCINEK,

Wody Mineralne Jodowo-bromowo-słone,

położone w Królestwie Polskiem gub. Warszawskiej,  
otwarte zostaną dnia 20 (8) Maja r. b.

Wody te znane z najpomysłniejszych skutków w chorobach skrofalicznych, syfilitycznych, reumatycznych, kataralnych, skórnych i nerwowych, w chorobach kobiet, zapaleniach stawów zastarzałych, obrzmieniach i uszkodzeniach kości.

W miejscu znajdują się hotele i wiele świeżo pobudowanych z komfortem urządzonych domów, restauracje, cukiernie, czytelnie i gimnastyka. Teatr, koncerty i bale, a także orkiestra zakładowa uprzyjemniają gościom pobyt u wód. Spacer pod tętniami nie tylko jest przyjemną rozrywką, ale i wpływ leczniczy wywiera na osoby oddychające powietrzem tętniowem, zbliżonem do morskiego.

Kąpiele solankowe, błotne, tuszowe i parowe z natryskami zimnemi i ciepłemi, odpowiednio są urządzone. Apteka miejscowa dostarcza potrzebnych lekarstw, a oddzielne składki, wszelkich wód mineralnych, naturalnych i sztucznych. Oprócz lekarzy zdrojowych, corocznie przybywa wielu wolno praktykujących i tym sposobem pomoc lekarska dostatecznie jest zapewniona.

Koleją Warszawsko-Bydgoską dojeżdża się do samego źródła.

(5-4)

## NOWE MIASTO NAD PILICĄ

(gub. Piotrkowska, pow. Rawski)

### ZAKŁAD PRZYRODOLECZNICZY.

Racjonalna hydroterapia, z kompletnymi, obszernymi i dogodnymi urządzeniami kąpielowo-leczniczymi. Elektryczność, masaż, gimnastyka, leczenie mlekiem, wszelkie wody mineralne, wyborne kąpiele rzeczne.

Ścisły internat i eksternat, dwóch stałych lekarzy, dyjetetyczne stołowanie, zdrowy klimat, malownicze położenie, liczne spacerki, orkiestra w sezonie letnim.

Telegraf przy zakładzie, poczta codziennie.

Ceny umiarkowane, a urządzenie zastosowane do stopnia zamożności, ułatwienia dla niemających, ulgi dla ubogich.

Komunikacja osobowa koleją Warsz.-Wiedeńską przez Skierniewice, lub Iwangrodzko-Dąbrowską przez Opoczno.

Szczegółowe objaśnienia w Zarządzie zakładu, lub w Warszawie w aptece H. Kucharzewskiego, Miodowa 4.

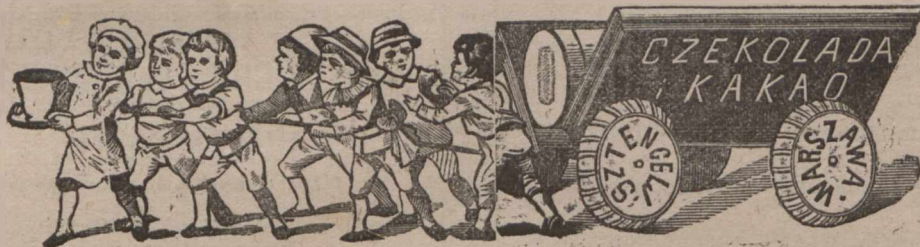
Właściciel i naczelny lekarz zakładu

**J. Bieliński.**

0-2

Biszkopty, Herbatniki, Ciasteczka drobne do wina.

J. SZTENGEL



Cukry deserowe, Czekoladki, Kakao kuracyjne.

Róg Marszałkowskiej  
i Zielonego Placu.

6-5

FABRYKA I MAGAZYN

### WYROBÓW JUBILERSKICH W. MOCZYDŁOWSKIEGO

przy ulicy Nowo-Senatorskiej pod Nr. 3, obok Hotelu  
Rzymskiego, (12-2)

poleca:

znaczny wybór gotowej biżuterii z własnej fabryki, co daje łatwość do zmiany starej biżuterii na nową, a jako z pierwszej ręki znacznie taniej. Obstalunki i reperacje po cenach niskich, najakuratniej się wykończają.

Krawiec (52-13)

### M. CHMURCZYNSKI

w WARSZAWIE

róg Nowogrodzkiej i Marszałkowskiej Nr. 94 nowy,  
na dole w podwórzu po prawej stronie.

Przyjmuje wszelkie obstalunki w zakresie krawiectwa wchodzące, oraz wykonywa wszelkie odnówki jesienne i zimowe palta, sakpalia, surduty, tużurki, żakiety, marynarki, spodnie, kamizelki i t. p., i takowe oczyszcza z płam i brudu, obszywa taśmą, podszywa podszewki, nieuje, reperuje, zmienia aksamitne kołnierze, guziki i odprasowuje, jak najakuratniej, po cenach bardzo niskich.

POSZUKUJĘ CHMIELU (3-3)

Zielna Nr. 9, mieszkania Nr. 2.

## J. SPORNY INŻYNIER

WARSZAWSKIE

### PRZEDSIĘBIERSTWO ASFALTOWE

#### i FABRYKA TEKUR,

wykonywa roboty asfaltowe, dekarskie i betonowe, oraz poleca TEKURĘ DO KRYCIA DACHÓW, LAK ASFALTOWY, SMOŁĘ i wszystkie inne materiały, w zakresie specjalności Przedsiębiorstwa wchodzące.

Zamówienia przyjmują się w kantorze Przedsiębiorstwa w Warszawie ulica ERYWAŃSKA (PLAC ZIELONY) Nr. 14. (6-2)

Specjalna Fabryka i Magazyn  
**BIELIZNY**

**L. GAŁKOWSKIEGO**

w Warszawie,  
Marszałkowska Nr. 133,  
róg Ś-to Krzyżkiej.

Poleca — w wielkim wyborze :

**Koszule** męskie, odznaczające się najlepszym krojem i wykończeniem, **Kotnierzyki** i **Manklety** w najnowszych fasonach. **Kalesony**, **Skarpetki** i **Szelki**, **Wielki wybór Krawatów**, **Szpilek** i **Spinek** najmodniejszych. **Chustki** na szyję jedwabne i półjedwabne, oraz **Chustki do nosa**, zawsze w wielkim wyborze. **Wyroby trykotowe** wełniane i bawełniane. **Kaftaniki siatkowe higieniczne**, oraz wyroby wełniane D-ra Jaegera.

Wszelkie zamówienia wykończają się starannie i spiesznie, po cenach stałych, możliwie niskich, p. p. handlującym ustępuje się rabat.

„Najlepszy krój Koszul męskich.“

52—34

**TANI POLSKI**  
**Magazyn Bławatny**  
**W. KLECZYŃSKIEGO**  
Krakowskie Przedmieście 64.

Resurea Obywatelska,

otrzymał i poleca Szanownej Publiczności wielki wybór towarów na sezon obecny, a mianowicie :

**Pół wełny** od 13 kop. do 35.

**Materyały** czysto wełniane podwójnej szerokości, po kop. 55, 75, 90, rs. 1, 1.25, 1.50 i t. d.

**Materyały** czysto wełniane w pasy i kratki od kop. 70 do rs. 1.50.

**Kaszmiry** czarne w wielkim wyborze od kop. 60 do rs. 2 za łokieć.

**Korty** na damskie okrycia od kop. 60 do rs. 2 za łokieć. **Velvety** czarne i kolorowe, w wielkim wyborze, na składzie po cenach niskich.

**Korty** na męskie ubrania od rs. 1.30 do rs. 2.50.

**Płótno** Jarosławskie na trawie bielone od rubli 7 za pół sztuki.

**Bielizna** stołowa biała i kolorowa, wyprzedaje się po cenie kosztu.

Oprócz wymienionych wyżej przedmiotów, Magazyn posiada wielki wybór **Perkali** białych, **Półpłótna**, **Madapolamów**, **Drelichów** kolorowych, **Firaneł**, **Kołder** pikowych białych i kolorowych i kołder wełnianych.

12—8



FABRYKA I SKŁAD  
Narzędzi Chirurgicznych i ostrych,  
stalowych, oraz Bandaży.

**F. Balukiewicza**

W WARSZAWIE  
Bieleńska Nr. 9, Hotel Paryżki.

26—25

**SKŁAD MEBLI** 13-10  
**MAJSTRÓW STOLARSKICH**

róg Marszałkowskiej i Zielonego Placu,  
Nr. 60 (150 nowy), 1-sze piętro.

Pragnąc dostarczyć JJWW. i WW. Panom mebli dobrych, produkowanych we własnych warsztatach, poleca takowe od najskromniejszych do wykwintnych, przyjmuje również zamówienia na roboty tapicersko-dekoracyjne, gwarantując za dobroć towaru i roboty.



SKŁAD WIN<sup>(24—10)</sup>

**J. Lijewskiego i S-ki**

Krakowskie Przedmieście Nr. 6,  
(wprost Kościoła Ś-go Krzyża).

Mianowany przez Prześwietny Konsystorz Generalny Warszawski przysięgłym dostawcą win do Ofiary Mszy Ś-tej, donoszę uprzejmie, iż chcąc godnie odpowiedzieć położonemu we mnie zaufaniu — zaopatrzę piwnice w czyste i wystęłe wina Węgierskie, odpowiednio do użytku kościelnego i sprzedaję takowe na butelki, garnce i beczki.

Oprócz tego pozwalam sobie zwrócić uwagę Szanownych Odbiorców na wina w beczkach z zapasów dawniejszych, a mianowicie z roku 85-go — jako z ostatnich lat dla win Węgierskich najkorzystniejszego — w bogatym wyborze gatunków i smaków, odstępując takowe, przy możliwie małym zysku, po cenach hurtowych.

W końcu nadmienić sobie pozwalam, iż piwnice składu zaopatrzone są w liczne i wyborowe gatunki win Węgierskich w butelkach, tak wytrawnych, jak maślaczy, odznaczających się czystością jagody i w skutek tego zdrowych i posilających, oraz w wszystkie inne wina zagraniczne z renomowanych domów, jak Francuzkie, Reńskie, Hiszpańskie i t. d.

Szczegółowe cenniki na żądanie franko i bezpłatnie.

FABRYKA I MAGAZYN  
**WSZELKICH PRZYBORÓW DO PODRÓŻY**  
KONNEJ JAZDY I POŁOWANIA  
**T. L. BREYMEYER, — Warszawa**  
Królewska Nr. 1, róg Krakows.-Przedm.

*poleca*  
Kufry — Walizy — Torby — Sakwojaże  
Płaszcz gumowe — Buty filcowe  
Kurtki — Płaszczki i Spodnie skórzane  
Torby myśliwskie — Futerały na broń  
Portmonetki — Pugilaresy — Portelgary — Woreczki i t. p.  
Wszelkie reperacje uskuteczniają się szybko i dobrze.

**S ł ó w k o !** 3—3

**GRZYBKIE KEFIROWE (Dispoza Caucasia) świeże i zdrowe przywiozłam o sobiście z Kaukazu.**

Blizsza wiadomość w głównym moim Zakładzie Kefiru Leczniczego w Warszawie, ul. Królewska Nr. 31 nowy (25 dawny), wprost parkanu Ogrodu Saskiego.

Klaudia Sigalina.

**NB.** Grzybki przy fabrykacji Kefiru nie niszczą się; służą raz na zawsze. Porcja na 4 szklanki do Rs. 5, na dwie szklanki do Rs. 2 kop. 50.

Filia w mieście Łodzi.

Wystawa przemysłowo-roln. w r. 1885. **ISTNIEJĄCY OD 1862 ROKU.**  
**DYPLOM UZNANIA. MAGAZYN MEBLI**

**ZJEDNOCZONYCH STOLARZÓW**

w Warszawie, **Flomackie Nr. 6, — były Hotel Wileński.**  
Poleca umeblowania pokojów jadalnych, sypialnych, salonów, i posiada meble od najwykwintniejszych do najkonieczniejszej potrzeby, po cenach możliwie niskich, także wszelkie roboty tapicerskie i dekoracyjne, podług najświeższych żurnali (13-6)

**Treść numeru :** Lichwiarze warszawscy. (Szkice z życia) VIII. — Odwrotna strona medalu. — Francya zżydziała (d. c.) — Na wyspie Zelandyi; z notatki podróźnego przepisał St. Piast (d. c.) — Za karę. (Z życia cynika — opowiadanie). — Na posterunku, feljeton Kamiennego. — Z całego świata. — Kronika bieżąca krajowa i zagraniczna. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia. — **W odcinku: „Narwańcy“**, powieść przez T. Jeske-Choińskiego (d. c.)

Redaktor i Wydawca **Jan Jeleński.** Дозволено Цензурою. — Варшава 28 Апрелья 1888 г. (Drukiem „WIEKU“ Nowy-Świat N-r. 61)